



**Biuletyn
Otrycki 16**

**Walne Zebranie
Klubu Otryckiego
16.10.87**

POŻEGNANIE Z GÓRAMI

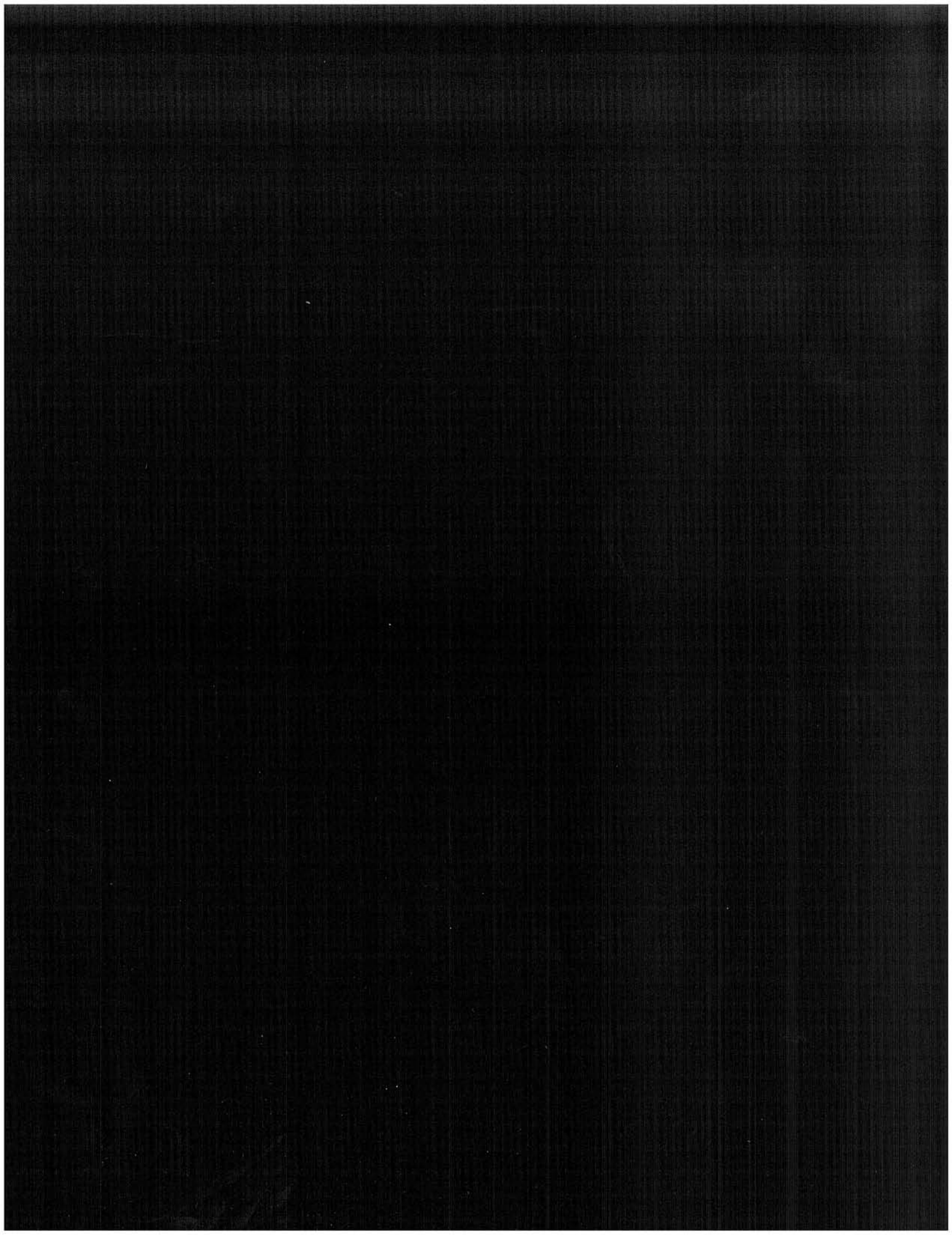
W szary kurz, w niemy tłum,
w tupot nóg, terkot kół
- powracamy tam, choć
nie wiadomo, gdzie skryć się.
I zniżamy swój lot
- władcy dolin i gór -
zostawiając swój cień,
na szczycie

Odkąd człowiek się wspiął ponad chmury
- doświadczyłem tego jak nikt-
wyżej gór mogą stać tylko góry,
gdzie znajdziemy nieznany nam szczyt,
gdzie znajdziemy nieznany nam szczyt.

Któż w nieszczęściu chce sam
walić głową w mur?
Kto chce zrobić w tył zwrot
bicia serca nie słysząc?
Lecz zniżamy swój lot
- władcy dolin i gór -
oto schodzą w doliny
bogowie
ze szczytów.

Ile marzeń i snów budzi w nas każdy wierch,
ile pieśni i nut
każe dłużej tu zostać ...
lecz zniżamy swój lot,
ty na rok, ja na wiek,
bo pisane jest nam,
bo pisane jest nam
zawsze wracać
po prostu.

Włodzimierz Wysocki



Kończy się lato - chcąc tego, czy nie chcąc, ściągamy do miasta, przygotowujemy się do Walnego Zebrania. Nostalgia miesza się z chęcią rozliczenia się z naszych "dokonań". Taki będzie właśnie ten Biuletyn. Nieciekawą sprawozdawczość /bo i chwalić się nie ma czym/, konieczną w zjazdowym numerze będziemy wzbogacać innymi materiałami, zgodnie ze stylem, do którego w Biuletynie dążymy. A wszystko to dla naszych Kochanych Czytelników.

W poprzednim numerze BO publikowaliśmy wiersze Tadeusza A. Olszańskiego. Zgodnie z ustaloną już w Biuletynie konwencją, nazwisko autora zamieszczamy poniżej tekstu, tymczasem w nakładzie odebranym z powielarni podpis ten /s.4/ po prostu się nie zmieścił. Gorąco przepraszamy Autora i Czytelników.

Niezmiernie jest nam również przykro z powodu mnożących się na łamach naszego pisma błędów literowych. Obiecujemy, że w przyszłości techniczna jakość naszej pracy będzie przedmiotem szczególnej troski.

M.P.

Siódmy dzień października -środa, godz. 16.59^x
Osiem dni do Walnego. Nie dotarło do mnie żadne sprawozdanie kierowników obozów letnich. . . .

^x- dane pochodzące z tzw. "zegarynki" - tel.926

MOJĄ HISTORIĄ OTRYTU - CIĄG DALSZY.

Każdy z nas przyjechał kiedyś na Otryt po raz pierwszy. Te pierwsze spotkania z Chatą, ich przebieg i konsekwencje są ciekawym przyczynkiem do historii rozwoju otryckiej wspólnoty. Gdyby przeprowadzić taką ankietę: "Mój pierwszy dzień na Otrycie" i zebrać wypowiedzi dawnych i obecnych, aktywnych członków Klubu, powstałby obraz Otrytu być może bardziej prawdziwy od tego, który tworzymy na podstawie różnych syntetyzujących wspomnień.

Pierwszy raz byłem na Otrycie w lecie 1976 roku. Był to pobyt krótki, zaledwie dwugodzinny. Zatrzymaliśmy się przy Chacie by odpocząć w drodze ze Smolnika do Suchych Rzek. Był to pierwszy etap mojego z przyjaciółmi wędrowania przez Bieszczady, Beskid Niski i Sądecki, Pieniny, Gorce i Beskid Wyspowy w Tatry.

Ten pierwszy kontakt z Otrytem nie wywarł na małolatach wielkiego wrażenia. Chata była miejscem, gdzie banda półgółych brodaczy i snujących się z podkrążonymi oczyma dziewczyn wydawała się spędzać czas w sposób całkowicie bezsensowny - bez celu, przyczyny i jakiegokolwiek wyższej racji. Wszędzie panował nieład i bezruch. Dziwne wrażenie robił w tym wszystkim Lenin /mam na myśli Włodzimierza Ilicza/, którego popiersie w srebrnym metalu stało na kominku. Dla nas, naładowanych energią siedemnastolatków, cały ten obraz nie był zbyt zachęcający. Było w tym jednak coś, co w nas pozostawało, utkwiło gdzieś w podświadomości: wrażenie pociągającej pozaczasowości Otrytu. To tak, jakgdyby czas płynął tam inaczej.

Później bywałem już w Chacie każdego roku. W 1978 spędziłem tam, z przerwami, blisko trzy miesiące. Trzy długie, wakacyjne miesiące, które na Otrycie wydawały się krótką chwilą. To był właśnie ten mój "pierwszy pobyt". Choć nie uświadamiałem sobie tego wtedy, był to dla mnie bardzo ważny okres. Nadal odczuwam jego wpływ na swoje życie.

W Chacie poznałem ludzi, dzięki którym Otryt był Otrytem. Dla mnie byli nimi Wojtek Jóźwiak, Henryk Kliszko, Leszek Popowicz, Michał Gierhisz i oczywiście ówczesny Gospodarz - Bill.

Z Wojtkiem prowadziliśmy długie rozmowy, jeżeli można tak nazwać jego monologi przerywane z rzadka moimi pytaniami czy nieśmiałymi wypowiedziami. Były to rozmowy o wszystkim. To, co banalne okazywało się w nich nieraz czymś głęboko istotnym. Wiedza, którą przekazywał Wojtek pochodziła z pogranicza prawdy i nonsensu. Była wiedzą niezwykłą, tajemną, czymś bardzo różnym od napuszonej akademickiej erudycji upstrzonej cytatami z mędrców. Była to wiedza indywidualna, zmuszająca do poszukiwań i dlatego fascynująca. Trzeba było słyszeć Wojtka wygłaszającego przy śniadaniu wykłady o kulcie fallicznym! Trzeba było go widzieć jak w wielkich kaloszach /które nie wiem dlaczego w mojej wyobraźni najbardziej przyłgnęły do jego postaci/ siedzą pod górę od Lutowisk mówiąc o dharmie lub pikując wielki kłoc drewna rozprawiając o soteriologii.

Mój stosunek do Wojtka był stosunkiem ucznia do jego "guru".

Inaczej było z Henrykiem. Moje pierwsze kontakty z Otrytem przypadają na okres, w którym Kliszko był już i jeszcze uznana "szarą eminencją" ruchu otryckiego. Nawet wtedy, gdy go na Otrycie nie było, odczuwało się jakiś jego trudny uchwytny wpływ na wszystko, co się tam działo. Jego znaczenie i pozycja wynikały z kilku przyczyn. Najważniejszą była chyba ta, iż Henryk słusznie czy niesłusznie uchodził jeżeli nie za jedynego, to w każdym razie za głównego Stworzyciela Chaty. Nawet osoby niechętne mu przyznawały, iż bez niego nie byłoby Otrytu.

Henryk jako jedyna w tym czasie osoba dysponował w miarę zupełną informacją o wszystkim, co było z Otrytem związane. Znał wszystkich, którzy Chatę budowali i niemal wszystkich, którzy się przez nią przewinęli. I odwrotnie - wszyscy znali Henryka. Jego fajka i broda były gwarancją trwania tradycji otryckiej. Jednocześnie to przede wszystkim jego idee i pomysły były źródłem ruchu - wszystko jedno, czy był to ruch w sferze myśli jedynie, czy związany z realnymi działaniami. Nie twierdzę, że Henryk był autorem wszystkich ważnych koncepcji, które pojawiły się w środowisku otryckim. Stał się jednak w sobie tylko wiadomy sposób, wszystkich tych koncepcji arbitrem.

Mój stosunek do Henryka był mieszaniną podziwu i strachu. Podziw wynikał przede wszystkim ze świadomości faktu, iż to jego przede wszystkim energia ożywiła i łączyła ruch otrycki. Strach i dystans, jaki sobie narzuciłem, związane były z dezaprobatą, jaką wzbudzały metody działania Henryka. Osoby, które psychicznie podporządkowały się jego woli, wykorzystywane były do działań, jakie Henryk w danej chwili uznawał za zgodne z interesem Otrytu. Z pozoru trzymając się na uboczu, Henryk konsekwentnie uniemożliwiał dokonywanie w Klubie jakichkolwiek zmian, które nie byłyby zgodne z jego wizją idei otryckiej. Taki system działał przez jakiś czas, w końcu jednak doprowadził do kryzysu. Henryk wytworzył pod koniec swej obecności w Klubie próżnię, której gdy odszedł, nie było czym wypełnić.

W następnym odcinku : Kobieta na Otrycie /o roli kobiet w ruchu otryckim/.

Zgodnie ze swoją zapowiedzią nie przestrzegania jakichkolwiek reguł, nie dotrzymałem obietnicy i nie napisałem o skandalizujących szczegółach związanych z pewnym obozem na Otrycie. Nie napisałem również dlatego, że kilkoro członków Klubu nagabywało mnie stale na ten temat. Jakby się czegoś obawiali? Zaspokoje ich ciekawość innym razem.

Leszek Filipowicz

/Czytelnicy BO znają już wiersz T.A.Olszańskiego -"Kirkut w Lutowiskach". Prezentowany poniżej tekst to efekt letniej lustracji cmentarza żydowskiego w L. przeprowadzonej przez naszą panią etnograf. Ariadna zachęca tych, którzy zwiedzanie siedziby władz gminnych ograniczają do kilku nazbyt dobrze już znanych miejsc, do odbycia i takiej wycieczki. Objasnia nieznaną profanom symbolikę żydowskich nagrobków./

KIRKUT W LUTOWISKACH

Jest w okolicy miejsce, o którym prawie wszyscy słyszeli, ale które niewiele osób miało okazję odwiedzić - kirkut w Lutowiskach. W pewien upalny dzień pod koniec lata przyszło mi do głowy, że może warto się tam wybrać.

Cmentarz położony jest na wzgórzu na wprost dolnego przystanku. Sterczące ze zbocza kamienne płyty widoczne są z wielu punktów wsi. Jest to jednak tylko mała część cmentarza. Większość nagrobków znajduje się wśród drzew leżącego powyżej lasku oraz na niewidocznej z Lutowisk części wzgórza. Płyty na zboczu to w większości miejsca pochówku kobiet. Pomiedzy drzewami i powyżej nich znajdują się groby mężczyzn, wśród których udało mi się znaleźć kilka nagrobków kapłanów i rabinów.

Być może ktoś z Was również wybierze się, aby obejrzyć to miejsce, leżące przecież w zasięgu niemalże codziennych wędrówek po zakupy. Jest to więc okazja, by powiedzieć coś więcej o cmentarzach żydowskich i niezwykle bogatej symbolice ich nagrobków.

W Lutowiskach przeważa kilka najpopularniejszych motywów żydowskiej sztuki sepulkarnej, ale uważny obserwator z pewnością znajdzie kilka grobów o mniej częstych symbolach.

Początkowo miejsce pochowania zwłok oznaczali Hebrajczycy tylko bielonym kamieniem. Z niego rozwinął się najstarszy z trzech rodzajów nagrobków żydowskich - stella nagrobna "macewa" /hebr. kamień, nagrobek/. Od II wieku p.n.e. na wzór helleński zaczęto umieszczać na niej imię zmarłego i opis jego zasług, bądź stosowny cytat z Biblii. Kamień ustawiony był pionowo, zakończony najpierw łukowato, potem także trójkątnie i prostokątnie. Na cmentarzu w Lutowiskach znajdują się wyłącznie nagrobki tego typu.

Inne, /tych w L. nie znajdziecie/ to sarkofag - helleńskiego pochodzenia, znacznie częściej występujący u Żydów sefardyjskich oraz "ohel" /hebr. namiot/. Jest to rodzaj mauzoleum budynek murowany, a czasem i drewniany, zawierający jedną lub kilka tablic nagrobnych. Za jego pierwowzór uważana jest jaskinia kupiona przez Abrahama na grób dla małżonki Sary /jest to nota bene najstarszy znany pochówek żydowski/. Ohele stawiano wybitnym mężom - cadykom, rabinom.

Biblia zakazuje przedstawiania postaci ludzkiej, stąd na tradycyjnych nagrobkach brakuje ich, choć istnieje kilka wyjątków. Czasem osiągnano kompromis przedstawiając postać tyłem, lub z zakrytą twarzą. Częściej jednak jako namiastkę stosowano wizerunek dłoni, np. wrzucającej monetę do puszki lub trzymającej księgę.

Groby Żydów sefardyjskich są znacznie mniej tradycyjne, płaskorzeźby przedstawiają postacie, łamany też jest często zwyczaj chowania małżonków w oddzielnych grobach w różnych częściach cmentarza.

Na większości cmentarzy nie wyznaczono alejek, nagrobki stawiano dla oszczędności miejsca ciasno obok siebie. Modlitwy za zmarłych odmawiano w domach i w bożnicach. Cmentarze odwiedzano raz w roku.

Symbole nagrobne podzielić można na kilka grup. Pierwszą z nich stanowią symbole religijne, w ścisłym tego słowa znaczeniu.

- Dłonie rozwarłe w geście błogosławieństwa - umieszczane na grobach kapłanów, potomków arcykapłana Arona. W Świątyni Jerozolimskiej byli oni wykonawcami kultu. Podczas niektórych modlitw w synagodze wznoszą dłonie, aby pobłogosławić zebranych. Na cmentarzu w Lutowiskach znalazłam trzy nagrobki kapłańskie.
- Misa i dzban - wyrzeźbione na grobach lewitów, potomków rodu Lewiego, który wraz z kapłanami pełnił służbę w Świątyni. Do nich należało obmywanie rąk kapłanom przed błogosławieństwem. Do lewitów mogą też odnosić się, rzadko występujące na nagrobkach, instrumenty muzyczne.
- Księgi i szafy z księgami / także ręka z jadem do czytania rodaków/ - umieszczane na grobach rabinów, uczonych czytających Torę w synagodze.
- Dłoń trzymająca gęsie pióro - może oznaczać, podobnie jak księgi, soferę - kopistę świętych tekstów umieszczanych na odrzwiach /mezuzah/.
- Lancet rytualny - oznacza, że zmarły był mohelem, tzn. dokonywał rytualnego obrzezania chłopców.

- Róg - zmarły pełnił funkcję trębacza noworocznego. Róg jest też symbolem o ogólnym znaczeniu - oznacza zwiastowanie czasów Mesjasza.
- Puszka ofiarna /lub dłoń wrzucająca monetę do puszek/ - oznacza wysoko cenioną w judaizmie dobroczynność. Może podkreślać hojność zmarłego lub fakt, że był skarbnikiem gminy.
- Korona - bardzo częsty, wieloznaczny motyw. Na omentarzu w Lutowiskach występuje na wielu położonych obok siebie grobach. Symbolizuje Torę - uczoność, pobożność, a także wierność małżeńską lub głowę rodziny.
- Menora /świecznik siedmioramienny/ - przedmiot rytualny, od starożytności symbol judaizmu. Obecna zazwyczaj w kombinacji z innymi symbolami.
- Świeczniki pojedyncze oraz 3-, 5-, 9 ramienne rzeźbiące były zwłaszcza na grobach kobiet, których głównym obowiązkiem religijnym było zapalanie świec szabasowych. Czasem świece są przełamane, co ma symbolizować przerwane życie.
- Gwiazda Dawida - starożytny znak dekoracyjny, od XIX w. symbol judaizmu.

Drugą grupę symboli stanowią zwierzęta. Mogą mieć one związek z imieniem zmarłego, jego nazwiskiem, bądź posiadać szersze, narodowe lub religijne znaczenie.

- Lew - jest znakiem pokolenia Judy. Rzeźby lwów zdobiły Świątynię i tron Salomona, od starożytności obecne były w sztuce żydowskiej. Lew to uosobienie siły i potęgi. Na nagrobkach występuje często obok złamanego drzewa lub razem z księgami. Może ilustrować imię zmarłego Jehuda, a także Lajb /jid./ i Arie /hebr./
- Jeleń - odpowiada imionom Hersz /jid./, Cwi /hebr./ i Naffali. /Występuje na wielu nagrobkach w Lutowiskach/
- Niedźwiedź - imiona Ber /jid./ i Dow /hebr./
- Wilk - Wolf /jid./ i Zeew /hebr./
- Owca - symbolizuje imię Rachel, trzoda owiec to metafora żalu za zmarłym. Może też mieć związek z imieniem Mojżesz /Mojżesz był pasterzem/, Owce mogą też występować przy studni symbolizującej spotkanie Racheli z Jakubem i Rebeki z Eleazarem.

- Ptaki - są bardzo popularnym symbolem na macewach, zwłaszcza kobiet / ptaki i złamane świece to główne motywy na grobach kobiet w Lutowiskach/. W kabalistyce ptaki są alegorią duszy. Dusze sprawiedliwych w postaci ptaków siadają na tronie Pana. Ptak może też oznaczać imię zmarłej: Fajgel /jid./ i Cypora /hebr./.

- Gołąb - oznacza pokój i zgodę, a także miłość małżeńską. Imiona : Taube /jid./ i Jona /hebr./.

Oprócz tych najpopularniejszych motywów zwierzęcych występują też czasami pelikany, bociany, motyle, żaby, delfiny i wiele innych. W symbolice nagrobków żydowskich znaleźć można też stwory fantastyczne.

- Lewiatan - mityczny potwór morski. Zwinięty na kształt węża połykającego własny ogon. Jest symbolem czasów mesjańskich i wieczności.

Wśród elementów roślinnych najczęstrza jest winorośl, symbol ludu Izraela. Na nagrobku oznaczać może owocną pracę i bogactwo duchowe. Rzebiono ją na grobach myślicieli, filozofów.

Czasem trudno jest rozstrzygnąć, które ze znaków coś symbolizują, a które są jedynie motywami dekoracyjnymi przejętymi ze sztuki europejskiej. Wraz z bardziej liberalnym stosunkiem do wzorów nieżydowskich, pojawiają się też na nagrobkach atrybuty zawodu : paleta, skrzypce, wąż Eskulapa. Elementy typowe dla judaizmu krzyżuje się z motywami z uniwersalnej sztuki sepulkarnej: złamane świece, złamane drzewo, martwy ptak, rozbity okręt, klepsydra.

Ariadna Henclewska

Przeczytajcie Vincenza

"Było to w roku 1887, jesienią, na połoninie Kiziej pod Czarnohorą. Wiatr dobrze wiał, dał, wył, buszował przez kilka dni, chłostał, hulał i trzaskał po lasach, nałamał drzew i gałęzi, aż wreszcie wymiółł i wyczyścił niebo z chmurzysk. Pogoda złota stanęła na niebie - cicho, łagodnie, ciepło.

Trembity grały na "rozłeczenie". Gazdów i ludzi z dolin było dużo, a połonina rozbrzmiewając okrzykami, zmieniała się. Radosne nawoływania szły z góry na górę, z połoniny na połoninę, od staj do staj, od koliby do koliby, od kosziery do kosziery. Daleko rozchodziło się donośne "wiwkanie", jeden drugiemu odhukiwał okrzyki śpiewne i przeciągłe naśladowania głosu trembity. Latały te głosy z Kiziej na Pohoriwkę, z Pohoriwki na Gadżynę, z Gadżyny na Maryszeska, z Maryszeskiej na Młaki i Psariwkę, z Psariwki na Cziernyj i Kostrycz. Cały świat połoniński się nawoływał. Zdawało się, że te ogromne przestrzenie są połączone ze sobą na ten jeden dzień, a za głosem myśl ludzka polatywała z połoniny na połoninę, przeskakując nieprzystępne bory, puszcę wielkodrzewną i dziedziny staroniedźwiedzie a także gestwiny młododrzewu, jary, przepaście i berda. Tam to gdzieś siedzi niedźwiedź, który tego lata upolował sobie niejedną jałówkę, ale uszedł z ręcznie rohatyny lub strzału. Siedzi w przepaściach leśnych, w syłkach albo gaurach, słyszy te głosy, szturczy uszy albo śwista i dmucha z podniecenia. A wilk podnosi nos do góry i weszy. I nadal graja trembity, a starowieczne pistolety i króćce, błyskające ogniem, strzelają rozgłośnie i nadal głosy nawołują się z połoniny na połoninę".

Tak zaczyna się wielka huculska saga Stanisława Vincenza "Na wysokiej połoninie". Autor dał jej podtytuł: "Obrazy, dumy i gawędy z Wierchowiny Huculskiej". Całość składa się z trzech tomów, lub, jak nazwał je Vincenz "pasm". Są to "Prawda Starowieku", "Nowe czasy" oraz "Barwinkowy wianek". Ci, którzy jeszcze tego nie znają powinni koniecznie przeczytać.

"Na wysokiej połoninie" to książka o górach, o Czarnohorze zaliczanej do Beskidów Wschodnich, do których należą i Bieszczady. Nie wiem czy istnieje zewnętrzne podobieństwo pomiędzy tymi dwoma górskimi pasmami - nigdy nie widziałem Czarnohory. Wiem jednak, że góry i ludzie, którzy w nich mieszkają, że lasy i łąki górskie są wszędzie podobne. Wiem, że jest coś, co sprawia, że w Muzeum Gór w Lourdes w Pirenejach czujemy się tak prawie jak w Muzeum Tatrzańskim; coś, co łączy Hucuła i Górala podhalańskiego, mieszkańca peruwiańskich Andów i Tybetu. Nie wiem co to jest to "coś". Ale wiem, że istnieje.

Pamiętam, że jako dziecko lubiłem oglądać przedwojenny podręcznik geografii. Najbardziej oczywiście przyciągały uwagę ryciny i fotografie

górskiej rzeki płynącej głębokim wawozem. Rzeka płynęły tratwy spławiane przez flisaków. Podpis pod fotografią brzmiał: "Tratwy na rzece Czeremosz".

Ta fotografia dziwne jakieś we mnie wywoływała uczucia. Tęsknoty? Żalu? Jakże dziwne a przecież bliskie wydawały mi się te nazwy: Czarnohora, Howerla, Czeremosz, Waratyń. Te miejsca - były równie pociągające co niedostępne. Myślałem o tym, że kiedyś przecież nie było granicy i jeździło się do Worochty i Krzyworówni tak właśnie jak dziś jeździmy do Ustrzyk i Lutowisk. Dziś Czarnohora jest daleko. Ale jest też przecież blisko. Czyż nie śpiewamy czasem "tam szum Prutu, Czeremoszu Huculem przyorywa"?

Wszystkie te uczucia nabierają nowych kształtów, gdy weźmie się do reki książkę Vincenza. Trafikiem na nią przypadkiem i na kilka wieczorów świat Czarnohory, ten świat połoniński stał się moim światem. Czytałem więc i słuchałem jak grają trembity, patrzyłem jak wysoko na połoninie pastęrze budują staję i zakładają wiatrę. Patrzyłem jak powstaje huculska sadyba - grażda i jak odbywa się butyn, czyli wyręb wiekowego, bukowego lasu. Wszystko to opisane jest w tym poemacie - reportażu, w tej baśni i gawędzie, jaką jest "Na wysokiej połoninie".

Myślę, że nie ma w literaturze polskiej, włączając w to wszystko, co napisano o Tatrach, dzieła bardziej związane z górami, nasyconego górami i z nich wynikającego. Nie ma dzieła, które lepiej opowiadałoby o ludziach, którzy w górach żyją, dla których góry są ojczyzną, a nie tylko miejscem zamieszkania. Niezwykle plastyczny język Vincenza tworzy świat jedyny w swoim rodzaju, świat, który raczej można odczuć niż zobaczyć.

To dziwne, bo przecież Czarnohora i Bieszczady to jednak nie to samo - po przeczytaniu Vincenza pomyślałem, że teraz i Bieszczady znam i rozumiem jakby lepiej. Może nie takie Bieszczady, jakimi są teraz, lecz takie, jakimi były zawsze. Dlatego chcę namówić was do przeczytania "Na wysokiej połoninie".

Leszek Filipowicz

Od Prezesa słów kilka

Tym razem będzie inaczej niż zwykle. Nie będzie sprawozdania z działalności Klubu w okresie od 3.04.1987 do 16.10.1987 r. Ponieważ /faktyczni/ członkowie Klubu doskonale ją znają. Należałoby jedynie zamieścić sprawozdania z obozów letnich w Chacie. Natomiast na początku chciałbym szczególnie podziękować za współpracę wszystkim tym, którzy utożsamiali się z Klubem nie tylko pro forma, ale i praktycznie, starając się "coś" w jego ramach zrobić, i bardzo mi pomogli. A konkretnie: Waldkowi, który przez swoje...

cicha i rzetelna praca nad naszymi finansami. Malutkiemu /do którego, mam nadzieję, już niedługo będziemy mówić panie prezesie/ za poświęcenie największej ilości czasu na sprawy Klubowe oraz naszej /na razie/ sympatycznej Bognie za wszelką pomoc. Chciałbym też podziękować Radzie Otryckiej za współpracę i naszym kochanym najmłodszym wiekiem Klubowiczom i sympatykom za ich wysiłek.

Aby tradycji stało się zadość kilka słów o działalności:

1. Administrowanie "Chaty Socjologa"

- Gospodarz Chaty /nic nie uległo zmianie, nadal jest nim Waldek i miejmy nadzieję, że jeszcze długo nim będzie, zasady finansowania etatu również nie uległy zmianie, patrz BO nr 14 str. 2 p. nr 9/.
- prace remontowe będą wyszczególnione przez osoby sprawozdające przebieg obozów na Otrycie,
- preliminarz za rok 1987 powinien zostać przepchnięty do grudnia 87.
- Sanepid wlepił nam kolejną karę ku rozpaczy księgowej za jakość wody w ujęciu.

2. Kontakty z RU ZSP

- w dalszym ciągu nie wywiązujemy się z "obietnicy" założenia SGA w Klubie /mimo nowych członków ZSP brakuje jeszcze dwóch osób/,
- traktuje się nas na zasadach ustalonych pomiędzy mną a kol. Gogolem i Gajem /patrz BO nr 13, str. 7, p. 2, § 2/. Nasze stosunki z RU ZSP uważam za chłodne ale rzeczowe i bez uprzedzeń, działamy na zasadach umowy i jak narazie obie strony wywiązują się z niej, choć często niechętnie.

Klub wchodzi w swój piętnasty rok działalności jako grupa przyjaciół, którzy poprzez częste kontakty tworzą coraz bardziej spójny obraz klubowego "my" oraz grupki ludzi, których określiłbym jako bliskie satelity tego rdzenia. Co należałoby zrobić?

Przede wszystkim odbudować działalność samokształceniową, poszerzyć sfery działalności Klubu /nie tylko turystyka i sport ale również rozwój intelektualny/. Mam nadzieję, że znajdą się ludzie i ciekawe pomysły, np. seminaria naukowe, działania teatralne itp. Wszystkie zagrożenia zewnętrzne zostały zlikwidowane. Mam nadzieję, iż tyczy się to również podziałów wewnątrzklubowych i można powiedzieć, że proces konsolidacji już się zakończył. Należałoby teraz starać się rozwinąć nowe formy /bądź przypomnieć stare/ działalności, przyciągające większą grupę ludzi do pracy w Klubie. Elita została wytworzona, czas teraz, by zaczęła sprawnie funkcjonować.

Artur Grudziński

/Melodię tej pieśni wszyscy dobrze znają - nostalgiczna, nastrojowa. Zawsze kołatała mi się po głowie, gdy przychodziło wyjeżdżać z Chaty.

• • •
/Клён ты мой опавший.../

Клён ты мой опавший, клён заледенелый
Что стоишь нагнувшись под метелью белой?

Или что увидел? Или что услышал?
Слезно за деревню погулять ты вышел.

И, как пьяный сторож, выйдя на дорогу,
Утонул в сугробе, примерзая ногу.

Ах, и сам я нынче чей-то стал нестойкий
Не дойду до дома с дружеской попойки.

Там вон встретил вербу, там сосну приметил,
Распевал им песни под метелью в лете.

Сам себе казался я таким же клёном
Только не опавшим, а всюю зелёном.

И, утратив скрепность, одуревши в доску,
Как жёну чужую, обнимал берёзку.